

Życie na plaży

Przed nami ostatni tydzień wakacji. Felietonem Joanny Paciorek z książki „Mama w pracy” przywołujemy ciepłą atmosferę letniego plażowania.

Tęsknię za morzem. Za piaskiem, falami, dalekim horyzontem. Kolega w pracy poleca miejscowość na skraju Mierzei Wiślanej – Piaski. Jest to koniec naszego polskiego świata. Znak drogowy pokazuje ślepą ulicę. Dalej pojechać się nie da.

Drogą wśród przechodniów spacerują dziki. Co najmniej dwie rodziny dzików. W jednej jest sześć warchlaków, a w drugiej trzy. Pan w sklepie uprzedza nas: „Proszę się do nich nie zbliżać. One gryzą. A potem jest pogotowie, seria zastrzyków na wściekliznę, tężec. Ostatnio dziewczynkę locha pogryzła. A tatuś chciał zdjęcie zrobić i mówił jej jeszcze – bliżej, podejdź bliżej. Widać zapomnieli, że przecież „dzik jest dziki, dzik jest zły...”.

Przyjeżdżamy tu w ciemno, bez rezerwacji noclegu. Chcemy schwytać gorące tegoroczne lato w najbardziej letnim miejscu – na plaży. W bagażniku namiot, śpiwory, siatki na motyle, dmuchane zabawki, menażki, kilka kartonów mleka, chrupki czekoladowe, „Dzieci z Bullerbyn” i „Wojny kultur” Agnieszki Kołakowskiej dla mnie.

*Dzieci, niczym wypuszczone z
klatki dzikie zwierzęta,
biegają. Kopią w piachu dołki,
budują zamki, skaczą, chlapią
się. Walczą z morskim
żywiółem*

Spacer na plażę to
zabawny spektakl.
Trudno nie zabrać ze
sobą wszystkich
spakowanych
napędce do
samochodu
fragmentów
dzieciństwa.

Wszystko potrzebne. Każda rzecz utrwala plażową radość. Najpierw więc idzie ogromna czarno-biała dmuchana orka. Franio niesie ją na głowie. Nie widać go wcale. Tylko nogi Frania idą pod orką. Za orką podąża szary rekin na nogach Stefana. A za rekinem niebieski mors. Mors też jest ogromny. Rysio obejmuje go za szyję próbując nieść. Mors jest jakieś trzy razy większy od Rysia, ale Rysio nie poddaje się. Na końcu idzie wielbłąd, czyli ja. Niosę parawan w żaglówki i torbę gigant, a w niej wszystko, co niezbędne na plaży – suche ubrania na zmianę, kurtki jakby było zimno, jedzenie, picie, ręcznik, wiaderko, łopatkę. Przez ramię mam przewieszony aparat fotograficzny i różowo-zielony latawiec z fioletowym ogonem. Maszerujemy przez las niczym Kubuś Puchatek z przyjaciółmi na jakąś wielką ekspedycję.

W połowie drogi Rysio staje przede mną, wznosi błagalnie ręce ku niebu i patrząc mi głęboko w oczy, prosi: „na rączki”. Mors czeka grzecznie przy nodze swojego pana. „Jeszcze trochę, Rysiu. O! Zobacz jeżyny” – mówię do Rysia, mając nadzieję, że jeszcze parę metrów przejdzie sam.

Wreszcie plaża. Słońce, ciepło, lekki wiatr, fale, białe grzywacze. Ludzi niewiele. Tak właśnie miało być. Dzieci, niczym wypuszczone z klatki dzikie zwierzęta, biegają. Kopiają w piachu dołki, budują zamki, skaczą, chlapią się. Walczą z morskim żywiołem. Próbuje utrzymać się na wodzie, siedząc okrakiem na dmuchańcach. Nie mają szans. Fale wywracają do góry brzuchem nawet wielkie rekiny. Strącają wodnych jeźdźców na dno. A ja leżę. Albo spaceruję niespiesznie. Zbieram bursztyny. Mam całą garść. Jest cudownie.

W pobliżu dziewczyna z chłopakiem. Młodzi, jeszcze szczupli, przytuleni. Tylko ręcznik mają ze sobą. I książki. Niepotrzebne im latawce, dmuchańce, łopatkki. Niepotrzebne zabawy, które każą wstać z ręcznika. Przyjemnie być razem blisko.

Na plaży można zobaczyć całe życie. Dzieciństwo, młodość, rodzicielstwo, starość. Tak jakby życie w przyspieszonym tempie

Z drugiej strony rodzinka z kilkumiesięcznym maleństwem. Weszli objuczeni torbami – jak to rodzinki. Tata na plecach dźwiga coś dziwnego,

dużego, błękitnego. To coś okazuje się leżaczkiem-bujaczkiem. Myśleli może, że jak przyniosą kawałek domu, to maleństwo będzie leżeć? Maleństwo nie chce leżeć. Płacze, złości się, zaciska pięści. Rodzice przejęci, bujają leżaczkiem bardzo mocno, osłaniają od słońca, próbują dać pić, ale to wszystko na nic. W końcu tatuś idzie po piwo, a mama buja dalej. Może maleństwo chce zobaczyć wodę? Dotknąć piasku?

Pochodzić wzdłuż brzegu w ramionach taty? Rodzice boją się jednak wyjąć go z kawałka swojego domu. Bo jeszcze się przeziębi albo piasek zje? Plaża na wyciągnięcie ręki nie dla maleństwa...

Brzegiem morza spacerują dziarskie starsze panie. Opalone, w jednoczęściowych kostiumach, z małymi plecakami. Starsi brzuchaci panowie zbierają bursztyny do siatek. Czasem panowie sportsmeni; truchtają żwawo wyprężeni.

Na plaży można zobaczyć całe życie. Dzieciństwo, młodość, rodzicielstwo, starość. Tak jakby życie w przyspieszonym tempie. Patrząc w lewo – jestem bobasem, patrząc w prawo – młodą dziewczyną z książką. Przede mną starsza pani na leżaku. „Och, jaki ładny chłopczyk” – mówi pani patrząc na Rysia. „Czy je owoce? Moja wnusia nie je owoców i tak się martwię.” Wracam do teraźniejszości. Jestem mamą. „Tak, je owoce. Ale starsi chłopcy niechętnie i też się martwię.”

Joanna Paciorek

Tekst pochodzi z książki Joanny Paciorek „Mama w pracy” wydanej przez Teologię Polityczną.

Książkę można nabyć w księgarni Teologii Politycznej